Nr. 33 Rok 4 Kraków, dnia 15 sierpnia 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



NA SŁONECZNYM SZCZYCIE

Fot. Wójcik

TYGODNIK WOJENNY





Na lewo: **PRZED SZTURMEM**
Podczas gdy samoloty „Stuka" obrzucają bombami pozycje sowieckie, niemieccy grenadierzy czekają w okopach, na rozkaz do ataku.

U góry: **WALKA NA WSCHODZIE**
Niemieckie czołgi i działa ruszają do ataku na pozycje sowieckie, na wschodnim froncie.





Na lewo u góry:
PRZEJŚCIE PRZEZ RZEKĘ
Żołnierze niemieccy wiozący zaopatrzenie, przeprawiają się przez rzeczkę podczas wielkiej bitwy na Wschodzie.

Na prawo u góry:
ZAOPATRZENIE W DRODZE NA FRONT
Bez przerwy dowożą kolumny niemieckiego zaopatrzenia, amunicję i broń, wojskom niemieckim, walczącym na Wschodzie.

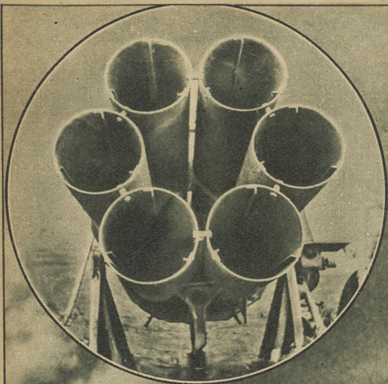
Na prawo: **TRAFIONY!**
Niemieckie działo zapaliło swym pociskiem czołg sowiecki.





WOJSKA JAPOŃSKIE W BOJU
Na lewo: Lekka artyleria japońska. Na prawo: Japońska piechota przeprawia się przez rzekę.
Fot.: PK. Bauer-Altvater, Büschel-Atl. (2), Zeymer-Sch., Doege-TO, Transocean 2

Miotacz mgły w bitwie na Wschodzie





Podczas ciężkich walk na froncie wschodnim użyto również skutecznie bateryj niemieckich miotaczy mgły. Wystrzały tego rodzaju wywolują olbrzymią ilość dymu, tworząc gęstą, nieprzeźroczystą ścianę mgły przeciwko nieprzyjacielowi, pozbawiając go tym samym możności obserwacji.

Fot: PK Arnold, Benser-Sch, Landgrebe, Reindl-Atl, PBZ





WIELKI MUR



Fot. Witzleben i Peters

Powyżej:
Kilka bram w murze rozpadło się, część ich przechowała się niemal w tym samym stanie, w jakim znajdowały się 2300 lat temu.



Powyżej:
Ruch na małej stacyjce u stóp Wielkiego Muru.



Wielki Mur w północnych Chinach jest największym dziełem architektonicznym zwanym często ósmym cudem świata. Chińczycy nazywają go „Wanliczangczeng" t.zn. twierdza o długości 10 000 li. Wybudowano go w XV wieku przez dynastię Ming dla celów obronnych Chin przed napadami plemion mongolskich. Długość muru wynosi około 3000 km. Miejscami sięga wysokości 16 m i 4—8 m grubości. Rozpoczyna się na zachodzie w pobliżu Suczau i biegnie w kierunku północno-wschodnim aż do Szanghajkuan nad zatoką czilijską.

Od XVII wieku straciła już swoją wartość strategiczną. Na miejscu dzisiejszego muru stał niegdyś inny, którego budowę rozpoczęto w IV wieku przed Chrystusem jako wał graniczny przeciwko Hunnom, a wykończono go pod panowaniem cesarza Tsin Szihuangti (221—210)

Ten starszy mur został uzupełniony i odrestaurowany w V—VII wieku po Nar. Chr., odkąd nie naprawiano go już wcale, tak, że w czasie wypraw Włocha Marco Polo (w XIII w.) przedstawiał ruinę. Jednak nieustające wojny i porachunki sąsiedzkie przyczyniły się do odbudowy Wielkiego Muru, który dochował się do dziś dnia. Od wielu, wielu lat Wielki Mur ma tylko jeszcze wartość zabytkową, dla której corocznie przyjeżdża moc ciekawych.

Powyżej:
Sprytny kupiec chiński założył sobie na Wielkim Murze swój kramik.

Poniżej:
Wielki Mur miejscami jest tak szeroki, jak prawdziwa ulica, dlatego używa się go często jako jezdni.







Powyżej:
Fragment Muru w okolicy Nankau. W wielu miejscach znajdują się wieże obserwacyjne.

W kole:
Strażnicy Muru noszą jeszcze po dziś dzień starożytny chiński miecz.



Dokąd oko sięga ciągnie się Wielki Mur przez doliny i ponad szczytami gór.

Na prawo:
Widok z Wielkiego Muru na ulicę ciągnącą się wzdłuż niego, widok dla nas niezwykły… Tak podróżują bogacze chińscy.



Poniżej:
Wnętrze wieży obserwacyjnej na Wielkim Murze.



W królestwie grzybów





Stary i młody borowik. Najbardziej znany i ceniony gatunek grzybów.



Grupka koźlarzy.

Poniżej:
Czasami grzyby osiągają niezwykłą wielkość, tak jak ten oto z gatunku „kania" zwany czubajką kania.

Fot: Archiwum 6
Ogród Botan. 1



„Nie wszystko złoto co się świeci" — przysłowie to doskonale można zastosować do muchomorów.



Na marginesie odbywającej się także w tym roku Wystawy Grzybów, rozlokowanej w Ogrodzie Botanicznym w Krakowie, warto napomknąć w krótkości bodaj o pożytkach płynących ze znajomości gatunków grzybów i ich użytkowaniu jako bardzo wydajnej i pożywnej strawy, pod którym to właśnie kątem widzenia wzmiankowana Wystawa ściąga liczne rzesze zwiedzających.

Co wiemy o grzybach właściwie? Szczerze mówiąc, bardzo niewiele. Że rosną w lesie, że najwięcej ich po deszczu, co stało się nawet zwrotem przysłowiowym — że są „dobre" i „złe" — i na tym koniec. Mnóstwo ludzi hołduje dziwacznej zasadzie spożywania jakiegoś jednego tylko gatunku grzybów, najczęściej t. zw. „prawdziwek" i rydzów co najwyżej, uważając wszystkie inne za „niepewne" albo zgoła bezwartościowe.

Sąd taki jest z gruntu fałszywym, a wypływa z nieznajomości grzybów w ogóle, oparty zaś na obawie przed zatruciem, staje się upartym twierdzeniem, że „wszystkie inne to podejrzane i nic nie warte śmiecie".

Tymczasem nauka o grzybach i doświadczenie zawodowych grzybiarzy mówią nam moc ciekawych rzeczy na ten temat.

Chciejmy tylko uważnie posłuchać! Pomijając sam fakt smakowitości grzybów, stanowiących miłe urozmaicenie jadłospisu, należy zwrócić uwagę na wysokie wartości witaminalne, jakie kryją w sobie grzyby. Witamina A kieruje sprawami wzrostu w organizmach żywych, witamina B zapobiega chorobom nerwów, witamina D chroni przed rachitymzem.

Zapewne niejeden spośród nas dowie się ze zdziwieniem, że niemal każdy „dobry" grzyb ma swą trującą odmianę, bardzo do szlachetnego grzyba podobną, na tym też polegają tak częste, a nawet tragiczne omyłki.

Naczelną zasadą, którą winniśmy zapamiętać, stosując grzyby jako pożywienie — jest prawda uznana przez pokolenia, że tylko grzyby świeże, dobrze ugotowane, nie odgrzewane ni niedogotowane są zdrowe i smaczne.

Nawet szlachetne gatunki grzybów, podane po dłuższym „odleżeniu się" albo odgrzane, mogą dla natur wrażliwych stać się przyczyną przykrych niedyspozycyj żołądkowych i schorzeń ustroju.

Że dawnymi czasy nie dowierzano grzybom, świadczy o tym powiedzenie francuskiego botanika XVIII w. Vaillant'a, wygłaszającego w swej wiekopomnej mowie na posiedzeniu naukowym zapatrywanie, iż „grzyby są to diabelskie stwory, psujące ogólną harmonię przyrody" (!) Nazwał je kwiatami bez kwiatów, przeklętym pokoleniem roślin, rozpaczą naukowców.

Co do tego ostatniego epitetu rzuconego pod adresem grzybów, może miał rację zacny Vaillant, bo świat tej grupy flory plechowej liczy ponad 90 000 różnych gatunków. Prawda, większość olbrzymia z nich jest istotami mikroskopijnej wielkości; ale i „dostrzegalnych", czyli w lesie „rosnących" jest też spora ilość. Tamte, niewidoczne, to organizm zwany przez nas pleśnią, to grzybnia, rozmnażająca się we wilgoci drogą tworzenia zarodników rozmaitych rodzajów. Drugie te już widoczne dla wszystkich, to kapeluszowce, wytwarzające zarodniki na owocniach, a składające się z kapelusza i trzonka, błędnie zwanego „korzeniem".

Grzyby, jako bezzieleniowe organizmy, a więc niezdolne do samorzutnej syntezy białka, muszą korzystać, by żyć, z martwicy lub żywej podściółki organicznej. Są więc zarówno pasożytami jak i toczniami. Mówimy o mutualiźmie, gdy grzyb i opanowany przezeń organizm wzajemnie są sobie przydatne, bo grzyb pobiera białko, a dostarcza azotu i substancyj mineralnych. Mając na myśli saprofityzm, zajmujemy się grzybami żywiącymi się obumarłymi tkankami roślin i zwierząt. Te różnorakie zdolności dostosowania się do bytowania pozwalają na występowanie grzybom wszędzie i na wszystkim.

Wiele rodzajów grzybów towarzyszy stale człowiekowi, zwierzętom i nade wszystko roślinom w całym ich życiu pod postacią dobrotliwą lub szkodliwą. Znana ogólnie pleśń niszczy produkty żywnościowe i sprzęty. Inny rodzaj grzybków pasożytniczych u osobników zaniedbanych higienicznie powoduje choroby płuc, paznokci, skóry (liszajce i t. p.). Zwierzęta są w jeszcze większej mierze narażone na działanie grzybów, niż człowiek, a szczególnie owady cierpią od nich najpotężniej. Podobnie jak ludzie, zwierzęta i owady żywią się chętnie grzybami. (Wiewiórki zjadają świeże i suszą na zimę, mrówki i termity nawet specjalnie uprawiają pewne gatunki grzybów).

Dokończenie na str. 10-tej



W środku:
Fragment bardzo ciekawej wystawy grzybów w Ogrodzie Botanicznym w Krakowie.
Na lewo: Wybryk natury: borowik, który urodził się na kapeluszach dwóch innych grzybów.
Na prawo: Pieniążki.

Miłość spod ciemnej gwiazdy

M. A. HESSEL

...różowe toto było, jak obłok, nieprawdopodobnie tłuste i ładne jak zabawka i też jak zabawka za naciśnięciem brzucha, piszczało za lada dotknięciem. Kupiła „to" Gozdkowa Weronka za byle co na jarmarku na chów i w opasce przyniosła do domu.

Grześko zaraz zauważył — już z daleka — że w matczynym fartuchu coś porusza się... a wierci... a podskakuje... Posłyszał też zaraz, że i piszczy cienko a niemal bez przerwy.

— Mamusiu, co tu masz? — zagadał natychmiast, zaledwie uściskawszy matkę.

— Patrzajcież go, jaki ciekaw! Musisz wszystko wiedzieć? — ofuknęła Weronka syna, ale że miłowała go jak źrenicę oka, zaraz uśmiechnęła się i wyciągnęła spod płócien kwiczącą tajemnicę.

...dy prosię zwykłe... Ani nie ma na co patrzeć! —

Lecz Grześ był zdania, ze jest na co patrzeć i to jeszcze jak... Czarne oczęta wylazły chłopczykowi na wierzch i jęły płonąć jak latarki, usteczka różowe rozchyliły się radością, połyskując malutkimi mlecznymi ząbkami, opaloną buzię zachwyt oblał jak blask słońca, tłuste pięcioletnie rączki wyciągnęły się chciwie po żywą zabawkę.

Dziecięcym, niezdarnym, zagarniającym odruchem porwał prosiaka na ręce i począł chyżo biec, jak ze skarbem, piszcząc z uciechy. Przestraszone prosię rozkwiczało się, co sił w ryju, aż Weronka zatkała palcami uszy.

— Puść-że go zaraz! — nakazywała, biegnąc za synem. Ale Grześko nie puścił. Wpadł do izby, dał nura pod stół — tam dopiero puścił z objęć zwierzątko. Zatchnął się formalnie zachwytem, gdy prosiak począł biegać po podłodze na swych krótkich nóżkach, wreszcie legnął plackiem — spłoszony — i leżał jak martwy, zamknąwszy oczka i wstrzymując oddech ze strachu.

Weronka zaraz nakarmiła mlekiem głodne prosię, uścieliła świeżej słomy w komórce, gdzie świnka miała się chować — ale tego dnia już nie doszło do zamknięcia prosiaka w komórce... Grześko rozdarł się na całe gardło i zaniósł tak przejmującym płaczem, że Weronika cisnęła mu prosięciem o kolana, krzycząc:

— A naści... zjedzże se go, kiejś głupi...

Grześ był na tyle głupi, że wygramolił się na łóżko z prosięciem w ramionach, a w kilka chwil później oboje — spłakane dziecko i „przeżarty" po brzegi prosiak — spali razem, jak zabici...

Weronka ruszyła ramionami, zerknęła raz — drugi — chustą okryła jedynaka, pogłaskała tkliwie rozgrzaną snem i minionymi łzami buzię, potem wyszła cicho, oporządzić to i owo koło domu.

...i tak już potem było wciąż... ... ...

Uleciał spokój z hałupy Gozdków — i nijakiej nie było na to rady! Rozmiłowany ślepo w chłopcu ojciec, dość mając tych historyj, wypadł wreszcie z równowagi i złoił skórę pasem, aż trzeszczało. Nie raz... Nie dwa... Grześko wył i płakał, spazmował, robił swoje — wygrał!

Pozostawiono go w spokoju, dla świętego spokoju.

Grześko więc bawił się cały dzień z „Gudziem" w izbie lub na polu, tarzał się z nim po podłodze lub na trawie, po łóżku lub na podwórzu, — obnosił na rękach. Świnka bez ceremonii gramoliła się dziecku na kolana, utytłanym ryjem muskając pieszczotliwie czarną główinę chłopca i brązoworóżane policzki. Grześ rączkami obejmował ten ryj i z niezmierną czułością zazierał natrętnie a głęboko w blade, białorzęsne oczka. Prosię chrząkało rozumnie z głębi gardła, a gdzie tylko ruszył się chłopiec, łaziło za nim jak wierny cień — nie do odegnania.

Grześko nie przełknął jadła, gdy „Gudź" nie znajdował się przy nim. Prosiak nacierał energicznie na miskę, umiejscowioną na kolanach chłopca, a Grześ własną łyżką wpychał mu do ryja kaszę z mlekiem, kluski, ziemniaki, albo i fasolę, którą dostawał często, bo lubił i jadł chętnie. Gudź niczym nie gardził, wszystko przyjmował z wdzięcznością i jadł, mlaskając przepastnie, ku krzykliwej uciesze dziecka, które zaśmiewało się do łez i cieszyło, zwłaszcza gdy Gudziowi udało się wpakować ryj w miskę..

Matka sprała Grześka kilkakrotnie, grożąc, że go „na śmierć zatłucze", jak będzie „wydziwiał" — ale zaniechała wreszcie wszystkiego, ogłuchła i oślepła na Grześkowe „głupoty", widząc, że wszystko na nic. Bo oboje — Weronka i ojciec — kochali chłopca nad wszystko i nie chcieli awanturować się z dzieckiem. Przepadło!

— ano i rośli oboje... Jeno, że Grześ pomału, a Gudź jak na drożdżach i w pół roku zmienił się w dość sporą świnię...

Zaledwie ranek błysnął donośnym kwikiem, od którego przejmowała zgroza, domagał się natychmiastowej wolności. Weronka puszczała go bezzwłocznie z komórki, czasem puszczał Gozdek, gdy był w domu, nierzadko sam Grześko bosemi stopkami gnał co tchu na powitanie przyjaciela. Jeżeli otwierał sam Grześko, różowo-żółty kłębek przypadał żwawo do nóg dziecka, muskając skórę pieszczotliwymi, mokrymi dotknięciami ryja, ocierał się głową o łydki chłopca, podskakiwał, bez przerwy chrumając aż gdzieś od żołądka. Potem biegł za Grześkiem do izby albo w pole.

Jeżeli otwierało któreś z Gozdków, Gudź bystro przyglądał się gospodarzowi czy też gospodyni, coś tam chrząkał z grzeczności — i gnał co sił w krótkich nogach ku drzwiom, w głąb sieni, do dziecka.

Zdobył sobie wszystkie prawa domownika i panoszył się po izbach, o nikogo nie dbając. Nie ograniczano jego swobody, nie zabraniano niczego. Gudź zazwyczaj przylegał plackiem na podłodze u kolan bawiącego się Grześka, często też „warował" u nóg obierającej ziemniaki Gozdkowej, która wreszcie tak przywykła do jego obecności w izbie, że przestał jej przeszkadzać, a często bawił ją i pobudzał do śmiechu. Gdy uprzykrzyło mu się bezczynne leżenie wstawał i myszkował ryjem po najtajniejszych zakamarkach mieszkania, zaglądał we wszystkie sprzęty, zwolna a ciężko przewalając się z kąta w kąt i co chwila spozierając ku dziecku lub gospodyni.

— Chrr... chrr... ychry... uchru... rum... ruchururu... — plotkował z panią domu, pętając się jej koło nóg. Gdy była pogoda i ciepło na świecie, wyganiała wreszcie Gozdkowa oboje na podwórze i często wybuchała śmiechem sama do siebie, zaglądając przez okno, jak świnia swawoliła z chłopcem. Uganiała za nim, kwicząc w niebogłosy, a Grześ umykał wśród spazmatycznego śmiechu, lub też na czworakach odpierał „ataki", które polegały na tym, że Gudź bokiem sadził na chłopca, pochyliwszy nisko łeb i nagle podskakiwał pociesznie, zadzierając wysoko tylne nogi.

Z początku przystawali ludzie tłumnie przed parkanem, dość się nadziwić nie mogąc cudactwu... Gruchnęła po całej wsi sensacja i dzieciarnia gromadnie biegła ku domkowi Gozdków patrzeć, jak wieprz — srebrzyście a delikatnie pobrzękując wiszącym na szyi dzwonkiem — łazi jak szczenię za roześmianym Grzesiem. Drwili też z niego chłopcy, a kpili... a chichotali... po kątach i w głos... szyderstwa sypały się na czarną główinę chłopca. Grześko nie wiele sobie z tego robił... miał Gudzia — nie dbał o świat.

Aż oswoili się ludziska, przyzwyczaili, pogodzili się z dziwnym faktem — pogodzili się zwłaszcza Gozdkowie. Młody gospodarz z początku ciskał czapką o ławę z wściekłością, widząc na podłodze, na sienniku, specjalnie przez matkę uścielonym, śpiącego Grzesia, trzymającego w ramionach Gudzia, który wtykał ryj w czarne włosy chłopczyka. Nieraz też w pasji szturchnął butem spasione szynki Gudzia, pętającego się po izbie za Grześkiem — ale gdy Gudź radośnie przypadał mu do nóg na powitanie, ucieszenie podnosił się na przednich nogach, poczciwie a rozumnie patrząc bladymi oczyma w twarz pana — Gozdek zmiękł, zamiast szturchać począł klepać i głaskać, wreszcie tak polubił Gudzia, jakby to był pies. Ujęło go za serce to stworzenie ślepo oddane jego dziecku, chodzące za nim jak cień, wierne i wdzięczne.

Przyszedł raz w niedzielę do Gozdka dawny kolega z wojska, w sąsiednim przysiółku mieszkający. Deszcz padał, więc Grześ w kuchni bawił się z Gudziem, który latał za dzieckiem, roztrącając z hałasem stołki i ławy.

W pewnej chwili gość gospodarza dostrzegł, przez otwarte z nagła drzwi, zabawę — i zdumiał.

— Co to? świnia!?!

— Nie świnia! — obraził się Gozdek. — To Gudź!

— Przecie świnia! — upierał się kolega. — Jakże? toć widzę...

— Eeee... dużo tam widzisz... — żachnął się Gozdek i wstawszy, urażony, zamknął drzwi.

...aż przyszło przedwiośnie! Polami zawiało tak jakoś ciepło, choć przedwcześnie, że w tydzień szczypty śniegu nie znalazłby nigdzie ze słońcem w garści... Rozkołysały się drzewa najcudniejszą nadzieją niedalekiego rozkwitu, parowała ziemia, dymiąc — jak kadzidłem — jasnymi oparami w chabrowe niebiosy; spiesząca się ku słońcu trawka tu i ówdzie wysunęła nad ziemię niewinne źdźiebełka...

Cała wieś była w gorączce, bo nadbieżająca wiosna niosła z sobą inną jeszcze radość: Wielkanoc!

Poczęli pokpiwać ludziska z małego syna Gozdków.

— Ogon ci tata zostawi i tam se dzwonek powiesisz!... — żartowali starsi z dziecka.

— Figę będziesz miał z Gudzia! Kiełbasy się objesz i będzie po krzyku! — drwiły dziewuchy, parobki, chłopcy, dziewczynki.

Straszliwy lęk zakradł się w duszę dziecka. Nierzadko zaszywał się w najciemniejszy kąt izby i tam wszystkimi nerwami patrzył — i słuchał! Każde spojrzenie rodziców tłumaczył sobie źle, każde ich słowo począł wreszcie przyjmować jako nieodwołalny wyrok śmierci na Gudzia. Tymczasem co dzień na innym podwórzu odgrywała się przedświąteczna tragedia poprzedzana rozdzierającym kwikiem przyszłych ozdób wielkanocnego stołu...

Co dzień, co godzina niemal, inna sąsiadka wpadała do Gozdków, o to — o owo zapytając, prosząc, a owe „wpadania" kończyły się niezmiennie pytaniem:

— Kiedy bijecie, Gozdek, waszego wieprza?...

Apetyt i sen na skrzydłach uleciały od Grześka. Zbladł, schudł, począł kaprysić, stracił zupełnie humor. Nie odstępował Gudzia na krok. Oczy dziecka świeciły jak gwiazdy, niespokojnie wwiercając się w twarze rodziców. Ale Gozdkom w głowie nawet nie było zabijanie Gudzia, bo za nic nie potrafiliby takiej przykrości zrobić dziecku, a powtóre że sami polubili to różowe chrząkające zwierzę, które całe swe serce oddało Grześkowi za serce. Szybko załatwili między sobą tę sprawę. To też Weronce ani przez myśl nie przyszło, co może być Grzesiowi. Trapiła się srodze, a gdy wreszcie chłopiec dostał gorączki, przerażona ułożyła go przemocą do łóżka.

Wyszła na chwilę do kuchni, a gdy wróciła dziwny widok uderzył jej oczy:

Gudź stał na tylnich nogach, przednimi oparty o krawężnik Grzesiowego łóżka. Grześ — w koszulince i boso — klęczał za nim z tyłu, usiłując na próżno wywindować wieprza na pościel. Gudź pojął intencję małego przyjaciela i rozkoszną musiała mu się wydawać perspektywa leżenia z nim w białej pościeli, gdyż podskakiwał co chwila, przydeptywał w miejscu, postękując i pochrząkując, w daremnym usiłowaniu dźwignięcia na łóżko swych kilkudziesięciu kilogramów. Chłopiec płakał, zachodził zewsząd, przymawiał Gudziowi niezdarność i przyciężkość, wreszcie uciekł się do perswazyj i próśb — i wtedy nadeszła Gozdkowa.

— Grzesiek! oszalałeś, czy co?!? — wrzasnęła.

Chłopiec stanął jak słup. Nagle skoczył ku matce i przypadł we fałdy jej zapaski, dygocący i rozpalony.

— Mamusiu! mamusiu! mameńko! daj mi Gudzia do łóżka, daj!

— Blekotuś się chłopcze najadł, czy co?!

— Mamuś! mamuś! — skamlał chłopak i czepiał się jej rąk, obejmował za szyję, całował. Wyczuła, że dziecko ma wysoką gorączkę, bo buzia i dłonie Grzesia paliły ją jak ognie! a oczy połyskiwały dziwnie poprzez białawe zmętnienie.

— Dobrze, dobrze, dobrze!

Porwała chłopca na ręce, zaniosła do łóżka, okryła, ale wyrywał się spod pościeli do Gudzia. Wieprz pobiegł za dzieckiem i krążył niespokojnie koło łóżka, drapiąc ratkami, węsząc wysoko zadartym ryjem i wspinając się ku dziecku z rozgłośnym a bezustannym chrumaniem. Weronka rozpłakała się bezradnie i pochyliwszy się, pomogła Gudziowi wywindować się na pościel. Gdy natychmiast zwalił się z lubością koło dziecka, tuląc pieściwie ryj do rozpalonych rączek, Grześ objął go szybko za szyję i tuląc do serca począł pośpiesznie całować.

— Ady się uspokój, dziecko! nikt ci go nie weźmie! — płakała Weronka, w przekonaniu, że dziecko jest w malignie.

Wreszcie Grześ zasnął! Gudź również zadrzemał głęboko, rozciągnąwszy się na całą swą długość i grubość i sponiewierawszy pierzynę w najostatniejszy sposób.

Dopiero gdy Gozdek wrócił do domu, rozpętała się awantura, jakiej świat nie słyszał.

Dziecko, czerwone jak upiór, czepiało się rąk ojca z jakąś rozpaczliwą siłą hamując mu wszystkie ruchy i krzycząc:

— Tatuś, nie zabijajcie mi Gudzia! Tatuś, nie zabijajcie Gudzia! Nie zabijcie go! Tatuńku!

I wybuchnął przeokropnym płaczem. Trząsł się jak liść i łapał — to ojca za szyję, to Gudzia za głowę, to schyloną nad łóżkiem matkę za ręce — i dygotał... i mienił się na twarzy... a olbrzymie i rzęsiste łzy spływały strumieniem na pościel.

Skamienieli oboje rodzice. Spojrzeli po sobie.

— A któż ci powiedział, że ja Gudzia zabiję?! — krzyknął w gniewnej desperacji Gozdek.

Grześ rozpłakał się jeszcze głośniej:

...powiedzieli mi — że ino ogon — na dzwonek — ostawicie mi... i kiełbasy sie najem... i koniec... — spazmował Grześko.

Gozdek zakręcił się w miejscu, jakby go żmija w samo serce ugryzła. Zrozumiał.

— Zaraza na nich!... Dziecko mi wystraszyli... Durny ci to powiedział, a ty durny wierzysz! — huknął.

— Zawrzyjże pysk! — zdenerwowała się Weronka. — Dziecko chore, jeszcze huczysz, jak na psa...

Gozdek ucichł z nagła i przysiadł koło syna. Jął go spiesznie głaskać po główce.

— Przecież nie zabijemy Gudzia! nie zabijemy, dziecko! Ani ja, ani mama, ani nikt! Nie płacz! nie bój się!

— Chrrr... chr... chururu... ychr... ychr, rach-rach-rach... wmięszał się do dyskusji Gudź i do reszty rozstrzygnął o swoim „Być — albo nie być". Uniósłszy górną połowę ciała, poufale ułożył się na kolanach gospodarza, licząc pieszczotliwym dotknięciem ryja guziki jego kamizelki. Potem otarł się mu o dłonie, sapiąc do głębin swej otłuszczonej jaźni.

Gozdek za łeb go chwycił i zajrzał w niebieskawo mdłe oczy z dziwnym wyrazem we własnych, nagle zawilgłych oczach.

Gudź wyrwał się, wykręcił, chrząknął — i zwalił się na chłopca, przewracając go na poduchy. Gramolił się mu na piersi, muskał łbem koszulkę, wtulał ryj w gorącą szyję dziecka, rozdmuchiwał tchem czarne włoski.

Grześko był zbyt słaby, by się obronić, odwracał tylko twarzyczkę; wybuchnął krzykliwą dziecięcą radością, potem z płaczu począł przechodzić w śmiech coraz weselszy i wyraźniejszy, wreszcie rozbrzmiała izba dzwoniącym szczęściem dziecięcym, a Gudź zawtórował triumfująco swemu małemu panu, którego radości były jego radościami.

...Coraz cieplej robiło się na polu. Weronka szykowała letni przyodziewek mężowi, dziecku i sobie. Zakraśniały na ławie tęczowymi kolorami jej spódnice, chustki i wstążki. Jedna z nich, czerwona jak maki, szczególnie barwiła się i lśniła. Grześ uważał, że ta jest najpiękniejsza.

Szukała i szukała nazajutrz Weronka tej wstążki, ale jakoby w ziemię wpadła! Nie ma!

— Gdzieś ją, widzi się, schowałam! Znajdę później... — myślała. Ale nie znalazła. Potem w nawale zajęć zapomniała o niej.

— — — lato przyszło, jak samo słońce jasne i cieple... sierpień przybieżał i święto Najświętszej Panny, Wniebowzięcie, żniwami pachnące, sianem i koniczyną. Dziewuchy strojne, jak na wesele, niosły do kościoła wieńce i kwiaty. Proboszcz zapowiedział uroczystą sumę i procesję na cześć Królowej Lata.

— Ave... Ave... Ave... Maryja... — niosło się w błękitach, szumiało wśród drzew, okalających wiejski kościółek, bieżało hen — w powietrze przeźrocze, na pola i łąki obrylancone niewyschłą jeszcze rosą...

Oboje Gozdkowie byli na procesji. Grześko został w domu pod opieką Hanuli od sąsiadów i zabawiał się z Gudziem na polu. Lecz wnet zaprzykrzyło mu się za rodzicami — zbyt długo nie wracali! Grześ upewnił się, że Hanula od sąsiadów jest w kuchni i otworzywszy furtkę wymknął się ku kościołowi, matce naprzeciw. Gudź podreptał za nim wiernie, chrząkając z pełnym zrozumieniem i potrząsając łbem, nad którym jak olbrzymi krwawy motyl chwiała się wstążka Weroniki, zawiązana rękami Grzesia.

Już z daleka dojrzała ich oboje Weronka. Zdrętwiała. Pieśń ugrzęzła jej w gardle... Niespokojnie spojrzała po ludziach: ten i ów dojrzał już zdobnego w olbrzymią czerwoną kokardę wieprza, nadeptującego dziecku Gozdków na pięty. Uczestnicy procesji jęli rozglądać się, trącać łokciami, pokazywać sobie wzrokiem dziwowisko...

Dojrzał wreszcie sam dobrodziej. Zaczerwienił się na twarzy, jak burak, zerknął drugi raz... trzeci... czwarty... Usta poczęły mu drgać...

Weronka omal nie padła trupem. Kolana uginały się pod nią, ale równocześnie fala krwi buchnęła jej do twarzy.

— Tyli wstyd!!... Jezusie, Maryjo!!...

Wypadła, jak z procy i skoczyła błyskawicznie ku chłopcu.

— Mamuniu! — ucieszył się, objął ją za szyję i całował, zanim zdążyła pierwsze słowo nagany wydobyć z siebie. Porwała go na ręce i smagana spojrzeniami, jak biczami, poczęła co sił w nogach biec do domu.

„Gudź" momentalnie zawrócił, wierzgnął szynkami w górę, podskoczył i począł biec za gospodynią, potykając się co chwila i plątając własne nogi w pośpiechu. Kwiczał przy tym co [illegible]

TAJEMNICZA CHOROBA

E. C. CHRISTOPHE

Bezpośrednio po kolacji, Mijnheer van Kruken począł się uskarżać na lekką niedyspozycję. Natychmiast zbadał go doktór Ostade.

— Niczego nie mogę znaleźć, Frans — oświadczył swemu staremu przyjacielowi — widocznie jedzenie i mocne piwo są powodem twych uskarżań.

— Niemożliwe —, jęknął von Kruken przyciskając silnie ręce do żołądka — przecież czuję, ze tutaj coś jest nie w porządku.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Przyjdź rano do mej kliniki — rzekł lakonicznie — wypompuję ci żołądek i każę cię prześwietlić. Wtedy uspokoisz się.

Frans van Kruken udał się nazajutrz do kliniki. Wypompowano mu żołądek. Naczelny lekarz Ostade asystował przy rontgenie. Znowu wynik negatywny.

— Nic ci nie jest! — uśmiechnął się Ostade i zaczął wypisywać rachunek.

Van Kruken, wsiadłszy do swego auta, oparł się ciężko o poduszki. Tu i tam czuł znowu dokładnie lekkie kłujące bóle. Auto stanęło, gdyż w tej chwili przepływał przez jezdnię nową falą tłum ludzi. Bezmyślnie przebiegł van Kruken wzrokiem po oknach i bramach najbliższych domów.

Dr. LEDEQANCKS
Lekarz.

Jeszcze raz rzucił okiem na tabliczkę i kierując się jakimś wewnętrznym podszeptem, wysiadł.

W małej skromnej poczekalni wisiało kilka dobrych obrazów olejnych. Rzadkie okazy wypchanych ptaków zdawały się patrzeć na przybysza swymi nieruchomymi zamarłymi oczami. W kącie stała szafa z jakimiś płazami w spirytusie.

Właściwie to nie poczekalnia lekarska, pomyślał van Kruken zdziwiony i odwrócił się do wyjścia. W tej chwili jednak otworzyły się drzwi.

— Ledeqanck — przedstawił się mężczyzna, mający wygląd raczej sportowca niż lekarza.

— Wszędzie odczuwam bóle — zaczął van Kruken wchodząc do gabinetu. — Mam zle samopoczucie, jestem niespokojny i nerwowy. Co mi właściwie jest?

Lekarz spojrzał na pacjenta.

— Prześwietlał pana mój kolega? — zwrócił się nagle lekarz.

Van Kruken, zaskoczony pytaniem, nagle drgnął. — Skąd pan wie?

— Nie trudno odgadnąć — brzmiała odpowiedź. — Właściwie mógł pan dać się zbadać w domu. Ponieważ jednak poczułem zapach karbolu, najwidoczniej z pańskiego ubrania, przypuszczam zatem, ze był pan niewątpliwie w jakimś szpitalu względnie klinice. Tylko tam jest tak silny zapach tego środka dezynfekcyjnego, że przejechawszy pół Amsterdamu, nie pozbędzie się pan tej niemiłej woni. I jest tylko jedno, co mogło pana skłonić do odwiedzenia tego szpitala czy też kliniki, mianowicie, chciał pan z pewnością prosić o dokonanie dokładnego zdjęcia rontgenowskiego.

Van Kruken milczał. Był to nowy sposób traktowania pacjentów. Ale spodobał mu się i dlatego postanowił być szczerym.

— Coś mi dolega. Miał to właśnie mój przyjaciel, doktór...

— Pan pozwoli — przerwał lekarz. — Proszę nie podawać żadnych nazwisk. Pańska godność?

— Nazywam się van Kruken — powiedział dobitnie Holenderczyk.

— Oo — rzucił raptem lekarz — byłem z jakimś van Kruken'em na Jawie.

— To mój brat — oświadczył Frans z zainteresowaniem. — Kiedy był pan z nim?

— Przed czterema laty. Polowaliśmy tam na tygrysy — odparł poważnie Ledeqancks— aż...

— Tak, wiem — przerwał van Kruken — gubernator napisał mi o jego śmierci.

— Bóle tkwią tutaj? — spytał nagle lekarz, naciskając pacjenta w okolicy żołądka.

— Tak i nie. Chwilami sam nie wiem, co jest przyczyną tych bóli.

— Był pan także na naszych malajskich wyspach? — spytał doktór Ledeqancks nie przerywając badania.

— Piętnaście lat — odparł van Kruken i, stękając z widocznego bólu, przewrócił się na bok.

— Mnie wystarczyło i siedem — rzekł lekarz z uśmiechem. — W takim okresie czasu też można dużo przeżyć. Ale, czy przywiózl pan ze sobą jakąś służbę tubylczą?

— Służby — właściwie to nie. Jedynie moja siostra zabrała ze sobą jedną pół-krwi Malajkę, należy ona zasadniczo do naszej rodziny — objaśnił szybko van Kruken.

— Dziękuję — rzekł lekarz, kończąc konsultację. — Niestety i ja niczego nie mogę stwierdzić. Jednak, jeżeli pan pozwoli, zbadam go jutro rano dokładniej

— Zgoda! Zatem proszę mnie odwiedzić— odpowiedział chłodno van Kruken.

Nazajutrz rano, w czasie kiedy Frans van Kruken nie miał nigdy zwyczaju nikogo przyjmować, zjawił się lekarz Ledeqancks.

— Zanim zacznę pana ponownie badać — rzekl na wstępie — proszę zezwolić mi na przeprowadzenie małego śledztwa w kuchni.

— Śledztwa? — zapytał ze zdziwieniem chory. — Pan myśli, że mnie...?

— Nie wiem. Ponieważ jednak osiągnąłem dotąd tylko negatywne wyniki, muszę szukać pozytywnych w innym miejcu — odparł doktór z uśmiechem.

— Proszę! — powiedział krótko gospodarz i nacisnął guzik od dzwonka. Nie mógł się opanować. Przeleciał go lekki dreszcz.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Prawie godzinę przesiedział lekarz w kuchni. Badał przygotowane śniadanie, pobrał próbki, poczym zaczął obstukiwać i obsłuchiwać van Kruken'a. Nic. Znowu nic.

— Wiedziałem — powiedział cicho badany — że to musi być coś całkiem innego.

— To samo i ja sądzę — odparł dr Ledeqancks.

W tym momencie otworzyły się drzwi i drobna postać egzotycznej piękności weszła do pokoju.

— Mam gościa, Hadiejeh — rzekł do niej prawie ze złością van Kruken.

— Chwileczkę, czy wolno mi tę panią o coś zapytać? — zwrócił się z prośbą do gospodarza lekarz.

— Nie! — brzmiała ostra odpowiedź. Widocznym było, że van Kruken jest podrażniony. Kobieta znikła szybko jak cień.

— Towarzyszka pańskiej siostry? — spytał lekarz, nie dając za wygraną.

— Istotnie — odparł sucho zapytany.

— Bardzo ładna, nawet za ładna dla Amsterdamu — zauważył z uśmiechem Ledeqancks.

— Co to ma znaczyć? — zapytał van Kruken, marszcząc gniewnie brwi.

— Mam pewną myśl, ale niestety, nie mogę niczego przedsięwziąć, gdyż widocznym jest, że pan sobie tego nie życzy — oświadczył lekarz.

— Mam respekt dla pańskich myśli — rzekł tym razem z uśmiechem van Kruken — więc cóżby pan chciał wiedzieć?!

— Czy łączą pana bliskie stosunki osobiste z ową damą?

— Tak, bliskie. Jednak jest ona, jak już wczoraj powiedziałem, poza wszelkim podejrzeniem.

— Jestem tego samego mniemania — zauważył lekarz. — Czy ma owa dama znajomych w Amsterdamie?

— Nie. Do widzenia panie doktorze! — rzekł sztywno van Kruken podnosząc się z fotela.

Były to ostatnie słowa Fransa van Krukena, gdyż następnego dnia już on nie żył.

Policja stanęła wobec zagadki. Doktór Ostade wzruszył ramionami. Ledeqancks zażądał dokonania obdukcji. Sąd przychylił się do jego wniosku.

— Jakże, znalazł pan co? — skierował Ostade ironiczne pytanie do swego kolegi.

— Istotnie — włos — brzmiała odpowiedź.

— Włos? — zapytał szyderczo Ostade — chyba w zupie, co?

— Myślę, że nie — było to wszystko, co odpowiedział Ledeqancks.

— — — — — — — — —

Tygodniami krążyła w pobliżu willi, w której mieszkał van Kruken, jakaś zamaskowana postać, kryjąc się po nocach w niszach i wnękach murów oraz w pobliskich bramach.

Pewnej nocy, podczas szalejącej wichury, zjawiła się nagle na tejże ulicy druga postać, drobna o zręcznych ruchach. Zbliżywszy się do willi zmarłego, przystanęła, przesadziła zwinnie bramę, znowu przystanęła, jakby nadsłuchując i nagle zniknęła we wnętrzu domu jak widmo.

W tym momencie odskoczył od muru na trotuar cień. Jakiś mężczyzna, sunąc cicho jak kot, zbliżył się do willi, przelazł szybko przez bramę i ruszył śladem pierwszego osobnika. Nagle rozległ się gdzieś w głębi domu przeraźliwy krzyk... krzyk, jaki wydaje kobieta w chwili grożącej jej śmierci lub nieopisanego strachu.

Jak strzała wyskoczył w chwilę po tym zza węgla jakiś obcy mężczyzna, jednak nie na tyle szybko, by ujść miażdżącemu uderzeniu silnej pięści dr. Ledeqancksa.

— — — — — — — — —

— Jest pan oskarżony o zabójstwo towarzyszki siostry zmarłego van Kruken'a — powiedział poważnie sędzia i spojrzał z pogardą na siedzącego na ławie oskarżonych drobnego Malajczyka. — Pan podaje, że zabił z zazdrości, o kogo był pan zazdrosny?

— Kochałem ją, zanim zjawił się van Kruken — odpowiedział oskarżony urywanym głosem.

— Świadek doktór Ledeqancks — zarządził sędzia. Doktór wszedł na salę.

— Czy są panu znane jeszcze jakiekolwiek okoliczności, mające związek między tym człowiekiem a zmarłym van Kruken'em? — spytał sędzia.

— Od dzisiaj. Od dzisiaj bowiem stało mi się wiadomem, że i van Kruken również został zamordowany — odparł świadek.

— Zamordowany? — spytał sędzia — to jest ciężkie oskarżenie.

— Zamordowany przez tego człowieka — oświadczył Ledeqancks, wskazując na Malajczyka. — Podczas dokonywania obdukcji zmarłego van Kruken'a znalazłem w jego żołądku dużą ilość dziwnych włosków, których istnienia nie mogłem sobie wytłumaczyć. Tkwiły one w jelitach, powodując mikroskopijne małe, krwawe ranki. Owe włoski stały się przyczyną śmierci van Kruken'a.

— A cóż to były za włoski — spytał sędzia zdumiony.

— Długo zastanawiałem się nad tym — wyjaśniał dalej lekarz. — W jakiś czas po śmierci van Kruken'a dowiedziałem się przypadkiem, że Hadiejeh zaprzestała w ogóle wychodzić z domu od tego dnia, kiedy to zapytywał o nią dozorcę oskarżony. Wałęsałem się przeto całymi dniami koło willi, chcąc go koniecznie spotkać. Udało mi się, gdyż jeszcze raz przyszedł on i spytał odźwiernego o Hadiejeh. Wówczas poczęłem go śledzić. Mieszkał on w ubogiej dzielnicy. Obserwowałem i podsłuchiwałem go. Siedząc pewnego razu koło niego przy sąsiednim stoliku w jakiejś podrzędnej restauracji, zauważyłem, jak wyciągnął on fotografię van Kruken'a, położył ją na blacie stolika i począł ciąć jego twarz ostrymi paznokciami. Wtedy było to dla mnie jasnem, że musiał on zmarłego bardzo nienawidzieć. Kiedy pewnego razu wyszedł on z hotelu, wśliznąłem się do jego pokoju i przeszukałem go. Początkowo bezskutecznie. Następnie zauważyłem leżący na stole słownik holenderski. Wertując go stwierdziłem brak jednej kartki. Kupiłem więc taki słownik i przestudiowałem brakującą kartkę. Między innemi znalazłem tam słowo: „włókno palmowe". Wówczas wiedziałem już wszystko. Podczas odbywania praktyki kolonialnej, słyszałem, że Hindusi i Malajczycy są w możności, wsypawszy do jedzenia drobno pocięte włókna palmowe, skazać swego wroga na straszliwą i bezlitosną śmierć. Włókna owe mają maleńkie włoski, które wpijają się stopniowo w jelita rozrywając je powoli. Początkowo sądziłem, że i Hadie...

W tym momencie zerwał się z ławki oskarżony i począł krzyczeć na całe gardło:

— Ona jest niewinna! Ona jest niewinna! Zabiłem ją, gdyż nie chciała ze mną chodzić, gdyż chciała mnie zadenuncjować. Zabiłem van Kruken'a, gdyż nienawidziłem go, gdyż nie chciałem, by go ona pokochała.

Nagle zmienił ton głosu i, jakby zrezygnowany, począł powoli mówić: — Ale teraz... — i, zanim ktoś zdążył podbiec do niego, wsypał sobie biały proszek do ust. — ... teraz i na... mnie przyszedł... czas iść...

Kiedy woźni sądowi podnieśli go, wystąpiła mu już na usta trująca piana. Nie żył.

— — — — — — — — —

Nad wąskim grobem, gdzieś przy murze jednego z cmentarzy w Amsterdamie, chwieją się na wietrze czerwone kwiaty. Często chodzi tam dr. Ledeqancks na wzgórek, gdzie spoczywa Hediejeh.

Tłumaczył z niemieckiego

DOWNAR

PRZEŻYCIA KAWIARNIANE

Czy ktoś chce, czy nie chce uwierzyć w siły natury, to jednak wszyscy schylamy z uszanowaniem głowy przed tymi milionami lat, jakie dźwiga nasza staruszka ziemia i przed katastrofami, jakie ją w tym czasie dotknęły.

Oglądnął pan sobie kiedy dokładnie stolik marmurowy siedząc w kawiarni przy „pół czarnej"? (— Cóż można na nim zobaczyć — spytałby ktoś).

A jednak można! Patrzałem, patrzałem w płytę marmurową i nie mogłem wyjść z podziwu. Przecież tu widać wyraźnie liście, pączki (nie te na maśle), może nawet kwiaty, lecz przede wszystkim niezliczone rodzaje muszli, w różnych kształtach i wielkościach, nawet rybie kły widziałem dokładnie zachowane w marmurze. Kiedyś przed milionami lat zaskoczyła je nagle katastrofa i zamknęła w płynną masę kamienia, czyniąc je w końcu same kamieniem. I tak widzimy przed sobą całą katastrofę rozłożoną na stoliku.

Radzę państwu zatem wybrać się kiedyś na „czarną" do kawiarni. Bo warto za kilkadziesiąt groszy obejrzeć te dziwy.

...A obok tuż przy podobnym stoliku czuła para zabawia się rozmową, jeszcze dalej siedzi dwóch interesantów...

J. M.

SZKICE WARSZAWSKIE

Warszawianka ubiera się

Tekst — A. Mar., Rys. — Set.

Idąc ulicami Warszawy stwierdzamy, że Warszawianki są szykowne. Jako stały mieszkaniec i wielbiciel Warszawianek muszę dodać, że były i są szykowne. Czyżby z tego wynikało, że wydają dużo pieniędzy na stroje? Przekonajmy się o tym, zaglądając dyskretnie przez okno. Wprawdzie nie zbyt ładnie jest podsłuchiwać, ale czegóż nie robi się dla poznania prawdy...

Falbanka, cały rój falbanek otacza uroczą blondynkę siedzącą na brzegu otwartej szafy. Długie palce rozprostowują jedwabne falbanki, które były tak modne u schyłku ubiegłego stulecia.

Czyżby kobieta wybierała się na maskaradę?! Nie, głębokie zamyślenie widoczne w oczach kobiety wskazuje, że zajęta jest jakimś poważnym problemem. Potem jednak dochodzimy do wniosku, że zanosi się na jakąś „konserwację" przed molami, gdyż niewiasta wyjmuje z szafy męski frak. Tylko po co tak bacznie ogląda męskie letnie, białe spodnie?!

Minął tydzień.

Andrzej siedzi zafrasowany na skraju tapczanu. Cichy dzisiaj jest jak myszka. Mężczyzna zawsze jest pokorny, gdy gnębi go sumienie. Zocha jednak jest wesoła. Przygotowuje szybko śniadanie, mówiąc:

— Prędzej ubieraj się leniuchu! Przecież umówiliśmy się z Warskimi na zdjęcia. Jaka dzisiaj wymarzona pogoda!

Teraz Andrzej staje się wyraźnie niespokojny. Zocha po raz pierwszy od dziesięciu lat pożycia małżeńskiego nie domagała się pieniędzy na letnie toalety.

— Czyżby starzała się?! — robi mu się nieprzyjemnie. Przecież przypomnienie, że ma się już... x lat nie należy do przyjemności.

Wkrótce jednak żrący niepokój wkrada się w serce Andrzeja. Przecież nie można jeszcze powiedzieć o jego żonie, że postarzała się! Kobieta krząta się koło toaletki. Poprzez cienką jedwabną koszulkę zarysowują się małe, jędrne piersi. Długie, zgrabne nogi, smukła figura... Nie, jeszcze jej daleko do starości.

Nagle Andrzej nerwowo gniecie papierosa o popielniczkę. Nie, wzrok nie myli go! Zocha wyjmuje z szafy nowy, czarny kostium, różową bluzeczkę i korkowe pantofle. Tylko te pantofle przypominają Andrzejowi ofiarowane żonie pieniądze.

— Skąd ona ma ten kostium! bluzkę?!

Musi mieć kochanka! Tak, musi mieć kochanka. Przecież od trzech tygodni ma w domu anioła zamiast kobiety!

Ze wściekłością przypomina sobie jej cukierkowatą dobroć — „Andrzejku, połóż się po obiedzie", „Andrzejku, uprałam ci koszulkę" i wiele, wiele tych charakterystycznych powiedzonek mających na celu uśpienie czujności męża.

Teraz wszystko jest jasne, tylko jak ona postara się usprawiedliwić?! Andrzej spostrzega, że i Zocha obserwuje go spod oka. Jakoś przestała popędzać go do golenia, podczas gdy sama jest już prawie ubrana.

Zocha staje przed lustrem. Modny, czarny kostium, nowa bluzka, nowy kapelusz, męski kapelusz! Proszę i nowa torebka, a on pamięta tylko te pantofle na korku!

Żeby chociaż prosto z mostu powiedziała — „mam kochanka, musimy się rozejść!", ale w tej chwili Zocha odzywa się:

— Pospiesz się Andrzejku, bo spóźnimy się...

Pięć razy Andrzej zaciął się brzytwą. Zachlapał łazienkę wodą.

— Czekaj ty bezczelna...— pomyślał — zobaczę co będzie dalej. I ja się dzisiaj wystroję! Przecież będzie tam Halina, a ona też do mnie...

— Czego grzebiesz w tej szafie?

— Wolno mi chyba szukać spodni?! — woła gniewnie Andrzej.

— Których spodni szukasz?

— Białych, białych letnich!

— Przecież nie chodziłeś w nich dwa lata!

— Ale dzisiaj chcę je włożyć!

— Oh, widzisz, przerobiłam je sobie na spódnicę.

— Tak?! Może jeszcze powiesz, że ufarbowałaś na czarno i uszyłaś sobie kostium?

— Nie, nnnie, ten kostium uszyłam sobie z twojego fraka. Przecież teraz był ci zupełnie niepotrzebny.

— A bluzeczka z podszewki, co?!

— Nie, z tej starej babci sukni z falbankami... Czyś ty chory?! Czego tak się dziko śmiejesz?

Andrzej nagłym ruchem otworzył szafę. Tak. Fraka nie ma. Białych spodni nie ma. Sukni z falbankami też nie ma. Gdzież jest jednak jasny garnitur?!

— Robię sobie jasny kostium. Chyba muszę się w coś ubrać? Pamiętasz ile nagadałeś się w zeszłym roku, gdy chciałam sobie kupić kostium? A widzisz! Więc przerobiłam sobie trochę twych zbędnych ubrań.

— Ale w co ja się ubiorę?!

— Mężczyźni jesteście zacofani. Po licho gnębicie się ciężkim ubraniem w tak piękne lato?! Powinniście nosić szorty, zarzucić marynarki i kapelusze.

I Andrzej wyszedł w „szottach" świecąc gołymi nogami. Gdy szedł obok swej żony, ubranej według ostatniego krzyku mody, nie bez pewnej dumy pomyślał:

— A jednak nie ma kochanka.

SIERPIEŃ

Minął czerwiec i lipiec!
i znów sierpień złoty:
pora żniw — sprzętu — kopań,
co ramiona męczą!
a jednak — ktoś już widział
srebrną nić pajęczą,
wlokącą się nad ścierniskiem,
między ludzkie płoty! . . .
Jeszcze tydzień! dwa . . . trzy może
słonecznej pieszczoty:
pierzchnie ptactwo! gaj zabłyśnie
barw czarowną tęczą!
— przyjdzie jesień co za latem
zaszlocha z tęsknoty,
a łzy chłodne . . . deszczowe
o szyby zadźwięczą . . .

E. Kloniecki.

W KRÓLESTWIE GRZYBÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6-TEJ

Stosunek grzybów do roślin jest bardzo ścisły. Stanowią one, jak wiadomo, nieodstępny składnik zespołów leśnych. Wyniszczając las — wyniszczamy współżyjące z nim grzyby — i odwrotnie.

Nas w tej chwili atoli obchodzą najwięcej grzyby jadalne i trujące.

Starożytni Grecy i Rzymianie byli już wielkimi amatorami grzybów ziemnych, trufli i innych, ceniąc najbardziej i dzisiaj cenioną równie bedlkę cesarską, krewniaczkę trującego muchomora. Rośnie ona w południ. Europie, na Kaukazie, w Himalajach, a zalecał ją do jedzenia Platon. Z narodów współczesnych najwięcej spożywają grzybów Niemcy i Francuzi. O działaniu trującym grzybów wiedziała już dobrze starożytność. Podobno żona i dzieci wielkiego tragika greckiego Eurypidesa, otruły się grzybami. Wieki średnie używały grzybów w celach trucicielskich. Na 300 gatunków jadalnych w Europie grzybów, przypada około 10% szkodliwych, najniebezpieczniejszą zaś jest podobna do pieczarki biała odmiana bedlki sromotnikowej, powodującej związkiem falliny degenerację nerek i ogólny paraliż, a następnie śmierć w 1—2 dni najpóźniej. Ucząc się poznawać i rozpoznawać grzyby, uczymy się przygotowania doskonałej odżywki, która w wielu odmianach stwarza bogate możliwości konsumpcyjne w naszym gospodarstwie domowym.

Stef. Krasiński

STARY TEATR — „JAŚ U RAJU BRAM"

Doskonała komedia muzyczna „Jaś u raju bram" Ralfa Benatzky'ego przez kilkaset wieczorów z rzędu nie schodziła z afisza w Warszawie na scenie „Cyrulika", z Hanką Ordonówną i Romanem Zawistowskim w tytułowej roli, zdobywając sobie niebywałe powodzenie. Z niemniejszym powodzeniem i uznaniem spotkała się na scenie Starego Teatru w Krakowie.

Komedia ma interesujący tekst, jest sytuacyjnie skomponowana, ma mocny fundament i obfituje w całą masę melodyjnych piosenek, ściśle związanych z tekstem, a nie „ad hoc" wlepionymi wstawkami. To jest zasługą znanego kompozytora — Benatzky'ego.

Niemniejszą zasługę przyznać trzeba wytrawnemu reżyserowi, który znakomicie zmontował sztukę i opracował reżysersko do najdrobniejszych szczegółów. Nie spotykamy się w wystawieniu tej sztuki z najmniejszym niedociągnięciem, najmniejszym niedopatrzeniem. Akcja płynie wprost, piosenka podana jest barwnie, przejrzyście, wszystko ma swoje miejsce, swój charakter zarówno w scenach zespołowych, jak w dialogach przy doskonałym, żywym tempie.

Od pierwszego odsłonięcia kurtyny spostrzegamy jakieś przeobrażenie, coś, czego nie oglądaliśmy na tej scenie od kilku lat, jakieś zbudzenie się z martwoty. Aktorzy poruszają się na scenie, zmuszeni do tego słowem i wewnętrznym nakazem, przeżyciem, wypływającym z tekstu, a nie w bezmyślnym ruchu. A jakiż jest tu wymowny bezruch, jaki pełen wyrazu. Obserwujemy to w pewnym momencie, gdy p. Jabłonowska siedzi w takim bezruchu przez jakiś spory ułamek minuty. Wrażenie kolosalne!

A najważniejsze jest to, że w tej komedii muzycznej **wszyscy**, o dziwo, **śpiewają**, a nie markują śpiewu — jak to się często zdarzało. Sztuka bardzo dobrze obsadzona. Ci sami aktorzy, których widywaliśmy tylokrotnie w różnych rolach, ze zmiennym powodzeniem, tu również jakby zasugestionowani przez reżysera, który ich prowadził, dali koncert gry aktorskiej, wszyscy, bez wyjątku.

Janina Jabłonowska, w królewskiej stylowej szacie, w świetle reflektorów była oślepiająco piękną, światowej sławy gwiazdą filmową, Glorią Mill. Ani na chwilę nie pozwoliła nam zapomnieć, że jest wielką gwiazdą, za którą szaleją tłumy. Imponująco wyniosła, wspaniałe opanowanie pozy, władczy gest, pewność siebie, doskonała dykcja, przy tym prostota... ludzka... wzruszająca...

Ryzykowna scena trucia z jakąż subtelnością i umiarem podana! Niejedna aktorka nie zrezygnowałaby w tym miejscu z „przetragizowania" tej sceny, zapominając, że to jednak tylko komedia muzyczna, a więc wszystko jest serio — nie na serio.

Artystka w tej roli miała możność rozwinięcia całego bogactwa swego talentu. To też stworzyła kreację **niezapomnianą**. Przypomniała nam swoje wspaniałe kreacje w „Klątwie" i w „Zaczarowanym kole". Jej piękny alt rozbrzmiał w całej pełni w nastrojowej piosence „Zawiązał mi ręce".

Rydel — to jest największa niespodzianka. Sympatyczny ten aktor, jakby zrzucił i pozostawił za kulisami krępujące go dotychczas więzy. Rydel rozdokazywany, roześmiany, roztańczony, giętki w ruchach, swobodnie ruszający się po scenie, podający piosenkę przyjemnie, ze smakiem względnie parlandujący, pełen werwy i temperamentu — w scenach lirycznych — głęboko wzruszający. Czyż to nie niespodzianka? A rola w tej sztuce nie była łatwa. „Jaś do raju bram" dostaje się poprzez starca, łobuzerkę, sentyment, groteskę... A przyznać trzeba, że z niedowierzaniem czekaliśmy na tę rolę, w której widzieliśmy przecież znakomitego aktora scen warszawskich, Romana Zawistowskiego.

Słoneczną przyszłość teatralną rokujemy ulubienicy publiczności krakowskiej, **Więcławównie**. Przemile, to młode stworzenie z każdym występem wykazuje nowe zalety swojej gry aktorskiej. Wdzięk, dziewczęcy urok, naturalna swoboda, dobra dykcja, wzruszająca łezka w scenach lirycznych. Taki śliski tekst piosenki „więc bierz mnie, ściskaj, pieść" w ustach Więcławówny brzmi rozkosznie naiwnie, jak w ustach małej dziewczynki, nie rozumiejącej tych słów. A przy tym tańczy... cóż — tańczy jak Więcławówna.

Że **Kondrat** w wybitnie groteskowej roli fryzjera filmowego jest bajeczny i że wywołuje wybuchy śmiechu i huraganowe brawa, nieomal po każdej kwestii — to przecież nie nowina. Publiczność ogarnia szał, gdy tylko ten świetny aktor ukaże się na scenie — i chwyta jego **„gierki"** w lot, które, przez dłuższy czas powtarzane kursują po mieście. Ale Kondrat prócz tego w komedii muzycznej bardzo przyjemnie robi piosenkę, może o tym nie każdy wie.

Pan **Fabisiak** w małej rólce-epizodzie, przedsiębiorcy filmowego, nie pozwolił zapomnieć nam o swoim dużym talencie. Jego kreacyjka była misternie zrobiona.

Obidowicz świetny był w charakterystycznej roli groteskowego sędziego i zbierał huczne brawa od rozbawionej jego grą publiczności, z którą dowcipnie nawiązał kontakt. Po raz pierwszy widzieliśmy na tej scenie tego zdolnego aktora w dużej, a jakże udanej roli. Mamy wrażenie, że p. Obidowicz doskonale się czuje w rolach charakterystycznych, ale czemu tak rzadko ukazuje się w nich?

Poza tymi głównymi rolami oglądamy epizody większe lub mniejsze, które są tak wyreżyserowane i zagrane, że tworzą w swoim rodzaju, każdy oddzielnie, małą kreacyjkę. I tak: p. **Topolska** w roli Diny i hrabiny de Falais, p. **Miciński** w doskonałym epizodzie w roli groteskowego adwokata, p. **Dwornicki** w roli komisarza policji, p. **Rubczak** — szofer i p. **Kurzawa** — portier.

Do sukcesu tego na wskroś udanego, przyjemnego wieczoru przyczynili się również pp. Dronka i Radzik swoim subtelnym akompaniamentem. Dekoracje nadzwyczaj efektowne, gustowne, nieprzeładowane, proste w rysunku. Doskonale pomyślane tło z czarnych aksamitnych draperii. **J. L.**

Wesoła scena z II aktu: Więcławówna i Kondrat.

Fragment aktu IV: Jabłonowska w roli gwiazdy filmowej Glorii Mill, Obidowicz jako sędzia.

Fot. Borek

ZE SCEN KRAKOWA

Na Zielną

Słońce się topi w monstrancji
Z witraży schodzi zaduma,
Ołtarz rozgorzał modlitwą:
Pełni się suma.

Do nawy wniosła się łąka
I ogród wyrósł w kościele,
Wniebowstąpienie ogłasza
Święcone ziele.

Jerzy Soplica

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Siedzieliśmy w schronisku górskim, a pewien myśliwy opowiadał o solidarności kozic, które ostrzegają się wzajem o grożącym im niebezpieczeństwie, wydając ostre gwizdnięcie. Dla dokładniejszego określenia włożył palce do ust i zagwizdał przenikliwie.

— Dajże pan spokój! — zauważył jeden ze słuchających. — Trudno przypuścić, by kozica wkładała racicę w pysk i gwizdała w ten sposób!

•

— Wie pan wynaleziono koszule bez guzików!

— Nic nowego! Takie koszule noszę już od dawna.

•

— Cóż to znaczy — powiada dama do wypychacza zwierząt. — Dopiero rok temu dałam wypchać mą najulubieńszą papugę, a oto wyłażą z niej pióra!

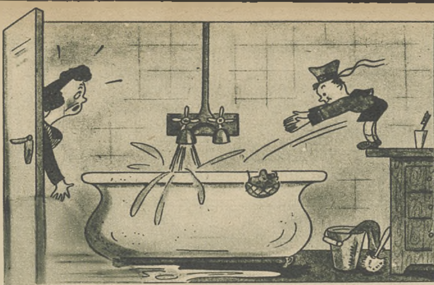
— To mistrzostwo sztuki wypychania, proszę pani! — odparł. — Papuga pierzy się nawet we właściwym czasie!

•

Drogi mój — powiada narzeczona. — Gdy się pobierzemy, będę dzieliła z tobą wszystkie smutki i kłopoty.

— Nie mam, Bogu dzięki, żadnych na razie.

— Toteż właśnie powiedziałam, gdy się pobierzemy...



— Mamusiu, mój skok z trampoliny! Kölnische Illustrierte

— O, teraz telefonuje szef ze swą żoną.

— Skądże pan o tym wiesz? Wszakże nic nie mówi.

— Patrz pan... Ciągle otwiera usta, jakby coś chciał powiedzieć.

•

— Droga Janko! — pisał pewien młodzieniec. — Przebacz mi te słowa. Ale mam, jak wiesz, krótką pamięć. Oświadczyłem ci się wczoraj, ale... doprawdy o tym nie pamiętam.

•

— Ciekawe, że pańskie włosy na głowie są już siwe, a na brodzie nie widać jeszcze ani jednego białego włoska.

— To pochodzi z tego, że włosy na głowie są o 20 lat starsze, od włosów na brodzie.

•

— Przepraszam bardzo, iż pana wczoraj nazwałem nosorożcem. Powiedziano mi dziś, że takie bydlę kosztuje 40 tysięcy złotych. Cofam niniejszym moje słowa.

— Chciałabym całować! — wykrzyknęła ośmioletnia Lili, rozpierając się w krześle.

— Któż cię tych słów nauczył? — spytał oburzony ojciec.

— Słyszałam je od bony, naszej panny Marty.

— Ho, ho... dam ja jej nauczkę! — wykrzyknął ojciec, wybiegając do sąsiedniego pokoju, gdzie panna Marta robiła właśnie porządki.

W tej chwili weszła matka i zwraca się do Lili:

— Gdzie jest ojciec?

— W sąsiednim pokoju. Uczy pannę Martę całować.

•

Lekarz: — Powinna pani sypiać stale na prawym boku.

Pacjentka: — To niemożliwe. Mąż mój mówi przez sen, a ja niedosłyszę na lewe ucho.



— Mamusia tak nieoszczędnie obchodzi się z mydłem przydziałowym..! Kölnische Illustrierte



— Odkąd mamusia przez cały dzień ma ciemne okulary na sobie nie muszę się już myć — ona i tak tego nie widzi! Berliner Illustrierte



— Możesz robić ze mną co chcesz — przyzwoliła mu niebacznie a on... wyrwał jej włosy. Münchner Illustrierte

Z cyklu »domowe sprzęty«

OTOMANA

Pierwsze podróże, miraż bajkowych pejzaży,
pościg za bandytą, smokiem, lupem, złotoskrzydłym ptakiem
prześniliśmy w dzieciństwie, siedząc na wałku okrakiem,
bo był nam koniem, autem lub łodzią korsarzy.
Trzy pokolenia panien obrało ją za powiernicę sekretów
dotyczących przelotnych uścisków z dancingów i kabaretów.
Legły się na niej, jak w gnieździe, plotki,
a także ślepe szczenięta i parszywe kotki.
Bywało, że wiarołomnej miłości stała się rydwanem
ale oto teraz z przeróżnych familijnych powodów
chrzcin, małżeństw i rozwodów,
na barwnym kobiercu esów i floresów
pokrycia sypia ciotka z kresów
za parawanem.

KOMODA

Nadęty tradycyjny ołtarz familijny
na którym poustawiano rzędem bibeloty
i pamiątkowe przedmioty.
Więc patarafka spleciona z włosów cioci Wiki,
piesek porcelanowy, wazon z ceramiki,
grupa rodzinnych monster i wachlarzyk z kości,
perełkowy pantofel, bez określonego użytku,
niemniej drogie wspomnienie czyjejś tam miłości.
A pod tym przepychem sercowego zbytku
tiuliki.
Mimowoli na ustach litania się klecí:
— Komodo z szufladami! Zmiłuj się nad nami!
I chciałoby się klękać...
A jeszcze bardziej wrzucić do pieca ten składzik rupieci.

OBRAZ Z SALONU P.T. „ŁADNA GŁÓWKA"

Maślana, rozmazana i ondulowana
barwiona różowym kolorkiem, a jakże!
Otrzaskana do nudy, reprodukowana bez liku
chociażby na pocztówce nabytej w kramiku.
„Gustowna" ma się rozumieć. I „do gustu" owych
subiektów sklepowych,
których kryterium piękna jest woskowy manekin w witrynie
wdzięczący się uśmiechem nieprawdopodobnej głupoty do przechodzącej trotuarem hołoty,
wabiąc durniów swych wdzięków tandetnych mamidłem ...
I budząc w sercu poety tęsknotę za wszystkim co mdłe.
Ach! ... Za emetykiem, za landrynem, za mydłem ...

„Hazet"

KĄCIK KARYKATURZYSTY

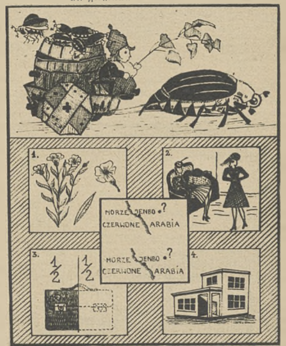


— Pieniądze!!! —
— Spóźnił się pan, już to zrobiła moja żona! —
Rys. Tadeusz Koziołek — Warszawa

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ELIMINATKA RYSUNKOWA

ul. „Dzidka" — Warszawa



Obj.: Po odgadnięciu znaczeń czterech bocznych rysunków należy skreślić z nich litery wchodzące w skład klucza, którym jest rysunek środkowy. Pozostałe litery dadzą ostateczne rozwiązanie.

OBRÓT KÓŁ ROWEROWYCH

Dwóch kolegów sprzeczało się ze sobą. Janek znakomity rowerzysta twierdził, że przednie koło roweru robi więcej obrotów niż tylne, a więc przednie koło robi dłuższą drogę niż tylne, mimo, że mają równe średnice. Karol uważał to za rzecz niemożliwą właśnie dlatego, że koła mają równe średnice. Który z nich miał rację?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 29 i 31

REBUSOGRAF

Znaczenie 6-ciu odgadniętych rebusików należy wpisać w środkową figurę. Litery w oznaczonych kratkach dadzą ostateczne rozwiązanie.

Znaczenie rebusików: 1. Domek. 2. Arak. 3. Szczęśliwa. 4. Stokłos. 5. Odnóżka. 6. Odwaga.

Rozwiązanie ostateczne: Kraków.

FIGURA WYRYSOWANA PRZY POMOCY TRZECH KRESEK

Zakłada się papier, na którym chcemy rysować w kierunku od a do b na 1 cm głęboko i w kierunku od c—d przeciąga się linię przez złożenie. Następnie wygładza się papier z powrotem i widzimy, że jednym pociągnięciem ołówka uzyskaliśmy dwie linie a mianowicie g—c i d—k. Teraz bez trudu rysujemy dwie pozostałe linie, jedną z nich możemy wykreślić jak następuje: m—e—f—g—h—a—b—c—e. Druga zaś biegnie od a do i—k—l—m—d—b. Podaliśmy tu jedną z możliwości, można również zacząć od innej litery i uzyskać ten sam rezultat.

GNIAZDKO

Silnik, Neapol, partia, tronom włókno, Kraków, arkada, altana, statek, Stalag, żelazo, leżaki.

REBUS

Pilny szybko szuka roboty.

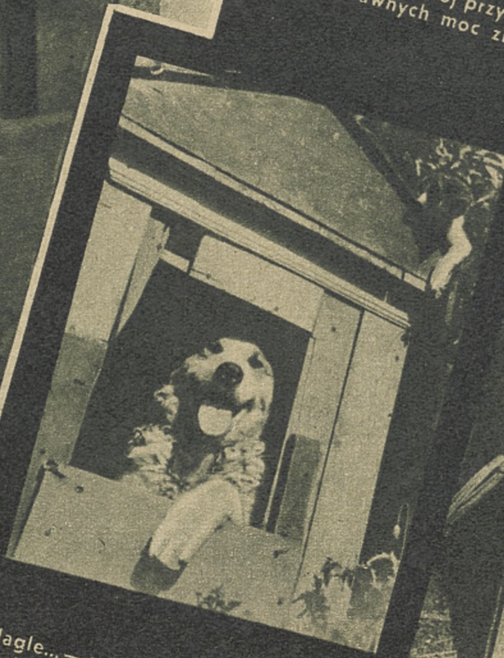
Nieudała siesta

— Taki upał dziś na dworze —
Myśli Azor — nie daj Boże!



— Gdzie też mój przyjaciel Mruczek,
Co zabawnych moc zna sztuczek!

— Mógłby przecież przyjść już do mnie,
Bo tak nudzę się ogromnie...



Nagle... — miau, miau, — dźwięk dobiega,
Jest Azorka już kolega...



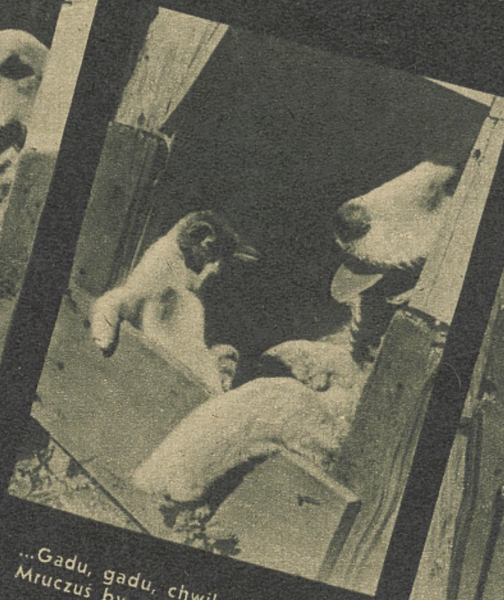
— Zgadnij prędko, mój kochany,
Gdzie też jestem ja schowany!



— Serwus! jak-ci-tam, Azorku!
Mam dziś czas do ...podwieczorku!



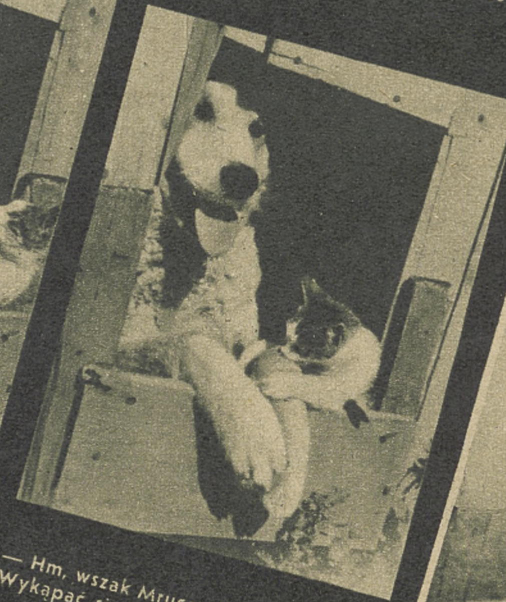
— O, to sporo czasu mamy...
Trochę sobie pogadamy.



...Gadu, gadu, chwile lecą,
Mruczuś by się zdrzemnął nieco...



— Mam Azorku myśl wspaniałą!
Idź się wykąp, już schłodniało.



— Hm, wszak Mruczuś dobrze radzi...
Wykąpać się nie zawadzi.



— Wrócę za godzinkę mała.
Bacz, żeby się co nie stało.



Mruczuś został, zamiast chrapać,
Wciąż się biedak musiał... drapać!



— Ej, do licha! Wielkie nieba,
Znów coś gryzie — zmykać trzeba...



— Choć Azorek będzie zły,
Adieu — bo mnie zjedzą... pchły!

Fot.: Dillan — Jiru
Tekst: Stef. Krasiński